



jeszcze wszystko przed nami



**Bułat Okudźawa**  
przełożyła Irena Lewandowska



wydawnictwo literackie

# GITARZYSTA

To się wydarzyło w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Pracowałem w „Literатурnej Gazecie”. Miałem już kilka piosenek i wielką sławę w małym kręgu znajomych i przyjaciół. Byłem tym bardzo przejęty. Bardzo mi zależało na tym, żebym się podobał im właśnie, moim przyjaciołom ze środowiska pisarzy. Jeden z nich — nazwijmy go Pawłem — zaprosił mnie na swoje urodziny. Zaproszono również jeszcze kilku moich kolegów z działu literatury naszego tygodnika. Wybrałem się do Pawła rzecz jasna z gitarą i swoim najbliższym w tamtych latach przyjacielem, początkującym pisarzem, Władimirem Maksimowem.

Dojechaliśmy do Pluszczichy, znaleźliśmy dom. Otwarto nam drzwi. Gości było mnóstwo i nasi koledzy także przyszli już wszyscy.

A więc weszliśmy do pokoju i zaczęliśmy zajmować miejsca za nakrytym stołem. Panował zwykły w takich sytuacjach gwar, następnie włączył się plusk nalewanego do kieliszków wina, potem usłyszeliśmy toast na cześć zarumienionego solenizanta... Brzęk szkła, pochrząkiwania, westchnienia i nagle cisza, i zjadanie w skupieniu świątecznych smakołyków, i pełne zachwyty okrzyki, i zresztą, jak zwykle, zadowolony szmer głosów, taki strumyczek, stopniowo, od toastu do toastu zamieniający się w burzliwy potok.

W domu Pawła byłem po raz pierwszy i nie znałem jego krewniaków. Sądząc z ich twarzy i z rozmów, byli to prości, mili ludzie, głównie robotnicy moskiewscy. To ich za stołem było najwięcej. A naszych było bardzo niewiele i oni, rzecz jasna, starali się nie wyróżniać i nie naruszać panującego klimatu intelektualnymi swoimi głupotami. Ot, tak, szeptali sobie różne dowcipy i chichotali ukradkiem. Tylko Wołodia Maksimow był wyjątkowo ponury.

Wreszcie, kiedy zjedzono i wypito już wystarczająco dużo, ociążali goście zaczęli się przemieszczać do sąsiedniego pokoju. Moi koledzy mrugali do mnie znacząco. Szedłem i rozumiałem, że zgodnie z utrwaloną już tradycją mam teraz śpiewać. W tamtych latach lubiłem to. Zaczynałem

przywykać do zainteresowania, jakim cieszyły się moje piosenki wśród przyjaciół. Obok mnie szedł ponury Maksimow. Póki siedzieliśmy za stołem, wiedząc o jego słabości do alkoholu, myślałem, że o to właśnie chodzi i dlatego jest taki ponury. Ale okazało się, że jest trzeźwy, trzeźwiejszy niż ja i wszyscy pozostali, i to było niepojęte.

W ciasnym pokoju jedni stali, inni siedzieli. Podano mi gitarę. Wszyscy zamarli. Czuję się wspaniale, chociaż oczywiście byłem nieco zdenerwowany: bardzo chciałem spodobać się słuchaczom.

— Co by tu wam zaśpiewać? — zapytałem przebierając palcami po strunach — jakś trudno mi od razu zdecydować...

— Może *Buty*? — szepnął któryś z naszych.

Pomyślałem, że *Piosenka o żołnierskich butach* to przecież o wojnie. Nie pasuje na urodziny... I spojrzałem na Maksimowa. Nadal był ponury.

— No to *Uparty i zawzięty* — podpowiedziano znowu.

— Nie — powiedziałem. — Zacznę od *Ostatniego trolejbusu*... To przynajmniej o Moskwie.

Znowu dotknąłem strun, jedna była źle dostrojona. Zacząłem ją stroić. Panowała cisza. Co prawda w sąsiednim pokoju sły-

chać było brzęk naczyń: tam krzątano się, sprząając ze stołu.

„A kiedy nie sposób już płynąć pod prąd...” — zaśpiewałem. Maksimow spuścił głowę, śpiewając pomyślałem, że następna będzie piosenka o Łońce Korolowie. Tak, tak, zdecydowałem, chociaż o wojnie, to przecież jednak i o Moskwie. Śpiewałem i jednocześnie obmyślałem swój niebogaty repertuar. Otóż i koniec „i ból co od rana pod skronią się tłukł — ustaje — do rana”. I ostatni akord. Ktoś z naszych zaklaskał. I nagle z odległego kąta rozkazujący okrzyk:

— Graj coś wesołego! *Cyganeczkę!*

— *Cyganeczkę* — podchwycili goście i ktoś zaintonował „Na jarmark jechał kupiec, jak ten róży kwiat...”

Nie rozumiałem, co się dzieje. Stałem, tuląc do siebie gitarę. I wtedy podbiegł do mnie Maksimow, szarpnął za rękę i syknął:

— Wychodzimy! — i siłą zaciągnął mnie do przedpokoju. — Ubieraj się! Prędeż, prędeż! Idziemy stąd!

Wyszliśmy z mieszkania. Nogi miałem jak z drewna. W głowie huczało.

— Nie chciałem ci mówić — powiedział z furją Maksimow już na nocnej ulicy — kiedy przyszliśmy, tam na stoliku w przedpokoju leżała lista gości i obok twojego nazwiska było napisane: „gitarzysta”.

# MYSZKA

Pewnego zimowego wieczoru siedziałem w Pieriedielkinie przed telewizorem. Nagle spod kanapy wyszła mysz i usiadła przy mojej nodze. Krzyknąłem z odrazą i mysz znikła pod kanapą.

Mój spokój przepadł. Przypomniałem sobie zeszłoroczne najście myszy i to, jak rzuciwszy wszystko, rozstawiałem wszędzie pułapki, rozsypywałem zatrute ziarno, wyrzucałem na śnieg szare trupki, chowałem jedzenie i z obrzydzenia w ogóle go nie tykałem... A myszy nadal robiły, co chciały. Biegały po zasłonach, piszczały, wszędzie zostawiały swoje wstrętne ślady, rozmnażały się za szafą i ich różowiutkie potomstwo od czasu do czasu wypełzało na świat boży...

Trwało tak prawie miesiąc. Straciłem energię, odechciało mi się wszystkiego. Nagle myszy znikły. Specjaliści wyjaśnili potem, że był to jakiś szczególny, mysi rok.

I teraz znowu?!

Zamarłem na kanapie, mysz zjawiała się ponownie i usiadła przy mojej nodze. Poruszyłem nogą — znikła. Kipiał we mnie strach i odraza. Poszedłem do piwnicy, wziąłem pułapkę na myszy, załadowałem ją i postawiłem w kącie. Spokój znowu przepadł.

Spałem źle. Przez cały następny dzień nie było jej. Ale wieczorem, jak tylko usiadłem przed telewizorem, pojawiła się. Siedziała przy mojej nodze, odwrócona do mnie tyłem i nieruchomo patrzyła na ekran. Poruszyłem nogą — oddaliła się niechętnie. Zamarłem — wyszła spod kanapy i usiadła na poprzednim miejscu.

Dziwne, ale wstrętu już nie czułem. Przeciwnie, ocknęło się jakieś zainteresowanie, jakaś nienatrętna ciekawość. Co to takiego? Skąd ta poza? Czego ona chce?

Pochyliłem się, żeby ją lepiej obejrzyć, ale wtedy znikła. W ciągu następnych dni wszystko toczyło się zgodnie z ustalonym porządkiem. Powolutku dokładnie przyjrzałem się myszy. Była przesympatyczna! Nagle zrozumiałem, że jest śliczna. Widziałem jej błyszczące czarne oczka i elegancki pyszczek, i jasnoszare futerko, i zwinęty w kółeczko wyrazisty ogonek. Mysz przywykała. Z czasem przestała znikać pod

kanapą i tylko delikatnie odsuwała się na bok, za ledwie zrobiłem jakiś ruch.

Położyłem na podłodze kawałek ciastka. Zjadła z apetytem, otarła łapą pyszczek i znowu wpatrzyła się w ekran. Minał miesiąc. Czym to jej nie częstowałem! I ciastkiem, i słoniną, i kielbasą... Przyzwyczailem się do niej, mało tego — przywiązałem. Teraz dziwne byłoby oglądanie telewizji w samotności, jak dawniej. Nie wiem, czym była zajęta w ciągu dnia, ale wieczorem, kiedy zapalał się ekran, natychmiast zasiadała przed nim. Było mi dobrze. Nawet przestałem pamiętać o tamtych zeszłorocznych stadach szarych stworzeń, tamtym szalejącym tłumie.

W ogóle nie lubię tłumów. Bogu dzięki, że przynajmniej w moim domu już ich nie ma. A ta maleńka, wytworna istotka w jasnoszarym futerku najwidoczniej także lubi samotność i raczej nie tęskni do swoich nieokielzanych współplemieńców...

W dzień, jak zwykle, pracowałem przy swoim biurku. Zimą wcześniej zapada zmrok. Pomyślałem, że już niedługo włączę telewizor i razem usiadziemy...

Nagle coś głośno szcęknęło. Obejrzałem się — to trzasnęła pułapka na myszy, o której zdążyłem już zapomnieć! Pobiegłem — a w niej moja myszka!



Kiedyś siedzieli u mnie przyjaciele.  
Opowiedziałem im tę historię. Wszyscy  
umilkli zmartwieni. Tylko Fazil krzyknął:  
„I co, na śmierć?!”

# JESTEM SZPIEGIEM SZWEDZKIM

Sześćdziesiąty piąty rok. Wysyłają mnie na Daleki Wschód na wieczory autorskie. Nie ciągnie mnie tam, nigdy się nie ubiegałem o takie wyjazdy, ale Związek Pisarzy jakby jest tym nadmiernie zainteresowany, jakaś tajemnicza wibracja wstrząsa jego całym mechanizmem, w tamtych latach wystarczająco potężnym. Pozwalam sobie na najrozmaitsze kaprysy. No, na przykład mówię, że nie polecę samolotem — mogę jechać wyłącznie pociągiem. Organizatorzy nie protestują — proszę bardzo, jak pan sobie życzy, wszystko w naszej mocy, pociągiem to pociągiem. Wagonem sypialnym do samego, samiutkiego...

Ale i tego mi mało. Przecież przedział jest dwuosobowy, nie będę sam. Jakiś nieznamy osobnik będzie mnie nękać przez osiem dni chrapaniem, rozmowami, a może do tego zacznie pić bez najmniejszej przerwy i chuchać mi wodą w twarz.

— Proszę mi kupić dwa bilety — mówię twardo — chcę być sam.

— Nie ma problemu — odpowiadają z uśmiechem.

Wreszcie wszystko jest załatwione. Otrzymuję przepustkę na wjazd do Władystoku. (W tamtych latach w tym nadgranicznym mieście obowiązywał reżym specjalny). Zajmuję swój przedział. Urządzam się — jazda będzie długa. Co za szczęście — jestem sam! Rozwieszam ubrania, układam rzeczy. Maszyna do pisania na stoliku, papier, pióro...

Przychodzi konduktor. Na czole rudy kosmyk. Szeroki uśmiech. — Życzy pan herbaty?

Przynosi herbatę, ciasteczka. Na imię mu Pasza.

Pociąg jedzie. Zapada noc. Śpię znakomicie. Rano wychodzę na korytarz. Obok przechodzi Pasza. Nie patrzy na mnie.

— Dzień dobry — mówię.

Odwraca się, odwraca i nie odpowiada.

No tak, myślę z irytacją, kolejny cham, a wydawał się taki swój chłop. I rzeczywiście, Pasza nie odpowiada na moje pytania, a jeśli odpowiada, to patrząc gdzieś w bok, tak że znika chęć pytania go o cokolwiek. Już nie proponuje mi herbaty. Nie mam ochoty na upokorzenia. Chodzę do

wagonu restauracyjnego, jem i piję tyle, ile mam ochotę.

Dobrze mi się pracuje. Za oknami monotonne pejzaże. Mijają dni. Władystok już blisko. Ostatniej nocy, w wigilię przyjazdu, budzi mnie pukanie do drzwi, drzwi się natychmiast otwierają i wchodzi oficer.

— Kontrola przepustek.

Podaję przepustkę. Studiuje ją bardzo długo.

— Dowód osobisty.

Podaję dowód. Oficer zachowuje się dziwnie. Zwolnione ruchy, wargi zaciśnięte. Wyczytuje każdą literę.

— Jakie jeszcze macie dokumenty?

Rozumiem, że coś jest nie tak, milczę i wypełniam jego polecenia. Pokazuję legitymację Związku Pisarzy, delegację, książeczkę wojskową...

Ogląda wszystko bardzo, bardzo długo. Potem salutuje i wychodzi, a ja widzę, jak rudy Pasza drepcze w ślad za nim. Rano, jak gdyby nigdy nic, Pasza z radosnym uśmiechem przynosi mi herbatę i paczkę ciastek. Siada naprzeciwko i słyszę, co następuje:

W dniu mojego wyjazdu z Moskwy na wszystkie moskiewskie dworce dotarła tajna informacja, że pewien Szwed wyjechał z Moskwy w nieznanym kierunku bez spe-

cjalnego zezwolenia. Grupy operacyjne zaczęły go szukać na wszystkich dworcach. Wszystkie pociągi otrzymały zalecenia: wszyscy konduktorzy mają obowiązek wszystkich śledzić i regularnie meldować. Szpieg nie może szpiegować bezkarnie.

Otrzymałszy zadanie, Pasza natychmiast zawiadomił kogo trzeba, że w jego wagonie znajduje się podejrzany typ: jedzie sam w dwuosobowym przedziale, na stacjach po drodze nie wysiada, cały dzień stuka na maszynie. Chudy. Czarna czupryna, czarne wąsiki. Typowy Szwed.

Doniesienia Paszy wysłuchano z zachwytem, a ponieważ w tamtych latach nie używano pojęcia „osoba kaukaskiej narodowości”, od razu domyślono się, że chodzi o Szweda. Przez całe osiem dni śledzili mnie jak najstaranniej i oczywiście przy kontroli dokumentów sprawiłem im ogromny zawód.

— Pierwszego dnia powiedziałem im, żeby sprawdzili dokumenty, po co czekać aż osiem dni — mówi Pasza, śmiejąc się od ucha do ucha. — A oni do mnie, to my jesteśmy fachowcy, nie będziesz nas uczył, rozumiano? A ja też myślałem, że jest pan szwedzkim szpiegiem — śmieje się. Taki miły, taki czujny, taki swój chłop, Pasza.

# MORDERCA

Nie minął nawet rok, jak wydarzyło się coś niesłychanego: Związek Pisarzy zorganizował wyjazd grupy turystycznej do Szwecji i włączono do niej mnie i moją żonę! Nie mogłem uwierzyć — pierwszy raz w życiu mam jechać do kapitalistycznej Europy. Dokonało się! Grupa była nieliczna — ośmiu pisarzy z żonami. Razem szesnaścioro. A ja wśród nich! Żenia Jewtuszenko bywał już na Zachodzie, i to niejednokrotnie, ale cieszył się wraz ze mną i puszczał do mnie oko dla dodania mi odwagi. I nagle przed samym wyjazdem okazało się, że skreślono mnie z listy! Omal się nie rozplakałem. Pobiegłem do Iljina — generała KGB, który kierował moskiewskimi pisarzami. Iljin kiwnął głową, wskazując na sufit i powiedział, że jeśli o mnie chodzi, decyzja uległa zmianie.

— Sam sobie jesteś winny — powiedział ze smutkiem — śpiewasz te swoje piosenki, irtujesz zwierzchność...

— Jakże to?! — wykrzyknąłem z rozpaczą. — A ja tak się cieszyłem... i żona... Przecież walczyłem na froncie!

— To bez znaczenia — powiedział nieubłagane. — Uporządkuj swoje sprawy, to przy następnej okazji...

I wtedy wszedł zaniepokojony Jewtuszenko. Skinął głową generałowi, usiadł vis-à-vis niego bez zaproszenia i rzekł pośpiesznie:

— Wiktorze Nikołajewiczu, chodzi o to, że cała Szwecja z zapartym tchem czeka na jego (kiwnął w moją stronę) przyjazd. Panuje tam niebywała ekscytacja (zamarłem — pierwszy raz w życiu słyszałem o sobie coś takiego). Jeśli Bułat nie przyjedzie, dojdzie do międzynarodowego skandalu... Nie wiem, z czyjej winy, ale tego się nie da im wytłumaczyć... Koniec końców, ja biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność... Przecież już wszystko było gotowe i nagle coś takiego!

Iljin słuchał, kiwał głową i spoglądał na mnie, a ja siedziałem ledwie żywy i coś jakby się we mnie zapadło, a przeżyłem już wiele podobnych zdarzeń — poniżających upokorzeń czy upokarzających poni-

zeń, czasem jedno i drugie, ale na taką skalę... To nic, pomyślałem, od tego nie zdechnę.

— No dobrze — nagle powiedział generał — dobrze, biorę to na siebie, dobrze, diabli z wami...

Kiedy wyszliśmy, zapytałem Żenię:

— Coś ty tam opowiadał o jakiejś ekscytacji?

— Ekscytacji? — nie zrozumiał Żenia.

— No bo mówiłeś... — powiedziałem.

— A tam — machnął ręką i roześmiał się.

Następnego dnia na placu Mochowym w jakimś urzędzie, już nie pamiętam w jakim, odbyła się rozmowa z nami. Słuchałem bardzo uważnie, nie przepuściłem ani jednego słowa, byłem niezwykle podniecony. Pod koniec urzędnik o zimnych oczach podsumował:

— Zapamiętajcie sobie: jedziecie do kraju kapitalistycznego. Tam się roi od szpiegów i dywersantów. Zapamiętajcie: szczególnie groźni są hippisi.

— Co to za jedni?! — zapytałem, tracąc przytomność.

— To — powiedział urzędnik — długowłosi młodzieńcy, narkomani i mordercy...

Moja radość zbladła, napięcie osiągnęło apogeum.



I pojechaliśmy do Szwecji.

W Sztokholmie było słonecznie i upalnie. Miasto było przepiękne... O, gdyby nie uparte myśli o czyhających w nim niebezpieczeństwach! Gdyby nie strach, który spętał nasze dusze! Wygodny i czysty hotel, życzliwa obsługa, wykwintna, niezwykła kolacja, a jednocześnie nieustanne dreszcze, ciarki po grzbiecie i myśli o niebezpieczeństwie. Z okna trzeciego piętra widzieliśmy czystą ulicę, odprężonych, dobrze ubranych przechodniów, wymyte mercedesy i volvo. Ale to wszystko przez okno na trzecim piętrze.

— Spróbujmy tylko wyjść, to od razu coś się stanie — powiedziałem szeptem. Żona kiwnęła głową.

Pierwszego dnia nie przewidziano żadnych zorganizowanych, wspólnych wypraw. Żona nagle skrzywiła się i powiedziała do mnie, również szeptem:

— No i co, będziemy tak siedzieć w zamknięciu? A po jakiego diabła? — i nagle ruszyła do drzwi. Powłokłem się za nią. Porozumiewaliśmy się wyłącznie szeptem.

W windzie było mnóstwo ludzi. Uśmiechali się do siebie, głośno śmiali, słysząc było szwedzki, angielski i francuski. A my? My szeptaliśmy i gardziliśmy sobą. I kiedy wreszcie winda zjechała na sam dół, a my

wyszliśmy do holu, żona powiedziała głośno i wyraźnie:

— Dość tego! Postanowiłam — albo my tak jak wszyscy, albo trzeba się zamknąć w toalecie na cały pobyt! Co ja mam wspólnego ze szpiegami, a tym bardziej — z dywersantami?! Dość tego!

Wyszliśmy na hałaśliwą ulicę.

— Popatrz na ich twarze — powiedziała — jak się śmieją, jak chodzą. Fajni szpiedzy!

— Ciszej, ciszej — wyszeptałem i ze zgrozą obejrzałem się. Żona umilkła. Było duszno. Potem powiedziała z goryczą:

— Pokręcimy się przed hotelem i można wracać do Moskwy...

Boże, jak duszno!

I wtedy, tuż pod samym wejściem, zobaczyłem automaty z coca-colą. Podeszliśmy do nich. Wrzuciłem monetę, ale automat nie zareagował. Zacząłem naciskać jakieś guziki — bez skutku. Wyjąłem następną monetę. Nagle z lewej strony zobaczyłem ogromną włochatą rękę. Ręka sięgała po moją monetę! Podniosłem głowę i zdrewniałem: obok mnie stał ogromny hippis z włosami do ramion. Coś mamrotał i chciał zabrać moją monetę.

— Oddaj mu ją, oddaj — wyszeptała moja pobladła żona — no, oddaj wreszcie!

A hippis pomrukiwał i sięgał po monetę. Oddałem mu ją. Byłem upokorzony. Czyżby, pomyślałem, był zdolny zabić mnie dla takiego głupstwa?! Wskazałem żonie oczami drzwi do hotelu, ale żona zupełnie skamieniała. Z napięciem śledziłem spojrzeniem hippisa. Czekałem na podstęp, inaczej być nie mogło... Przecież go nie prosiłem... A gdybym nawet poprosił, to on nie ma obowiązku... Mógł po prostu... dlaczego powinien? Mógł powiedzieć: A idź ty do...! I ja bym poszedł... Hippis wrzucił monetę do szpary w automacie, nacisnął jakiś guzik i na dłoń wyskoczyła mu lodowata butelka. Zerwał kapsel, jego twarz rozplynęła się w uśmiechu. Podał butelkę mojej żonie! I do tego jeszcze się uklonił! I poszedł...

„By, by...”

# WITAM WASZĄ WYSOKOŚĆ!

Już kiedy trwała pierestrojka, znowu pojechałem do Szwecji. Spacerowałem po Sztokholmie. Nie bałem się niczego. Straszdyła przepadły, jakby ich nigdy nie było. Poprzednie lata wspominałem teraz z uśmiechem, rumieniłem się ze wstydu za siebie tamtego i cieszyłem z nowej sytuacji. Przypomniałem sobie jeszcze kilka epizodów związanych z tamtym, dawnym już wyjazdem turystycznym. Wtedy, jeszcze nie wyobrażając sobie, że będę mógł kiedykolwiek pojechać do Szwecji, poznałem w Moskwie szwedzkiego korespondenta i pisarza, Hansa. Czasami widywaliśmy się. Był to mądry i wesoły, całkiem jeszcze młody człowiek, który w żaden sposób nie mógł pogodzić smutku moich wierszy i piosenek z czerwonym zamętem w moim rozpalonym mózgu. Potem upłynął czas jego pobytu w Moskwie, wrócił do swojej ojczyzny, i wówczas akurat przy-

padł mi zaszczyt obejrzenia kapitalistycznego świata po raz pierwszy. I oto w Sztokholmie, już po historii z hippisem, kiedy wreszcie coś niecoś rozumiałem, chociaż oczywiście nie do końca, Hans odnalazł mnie i zaprosił do swojego domu na kolację.

Było to mieszkanie dwupoziomowe. Nigdy jeszcze takiego nie widziałem! Na dole stał elegancko nakryty stół. Było smacznie, wesoło i hałaśliwie. Opowiadano dowcipy, w których moi rodacy wypadali dosyć komicznie. Hans był wspaniały! Nagle zaproponował, że pokaże piętro swojego mieszkania. Byliśmy w znakomitym nastroju. W głowie mi trochę szumiało. Kiwnąłem i poszedłem za Hansem. Mieszkanie mną wstrząsnęło. To jasne — pomyślałem — korespondent musi być bogatym człowiekiem! Nagle w moim mózgu błysnęło podejrzenie: a co, jeśli on jest po prostu szpiegiem?! I zaprosił mnie do swojego domu, prowadzi mnie... na piętro! A tam? Teraz, pomyślałem, zacznę namawiać... do tej tam... współpracy...

Nogi miałem jak z drewna. Szedłem niczym jeniec. Hans odwracał się i uśmiechał. Znamy te wasze uśmiechy! Weszliśmy na górę. Wciągnąłem głowę w ramiona. Znamy... Doszczętnie wytrzeźwiałem.

— To — powiedział — mój gabinet.

Coś przenikło przez mgłę.

— A to sypialnia — powiedział, uchylając kolejne drzwi.

Teraz! — pomyślałem i stanąłem.

— No, co z tobą? — zapytał. — Widzę, że nie jesteś ciekaw!

— Co to ja sypialni nie widziałem? — wymamrotałem. — Lepiej wracajmy — i czekałem, że wreszcie zacznie...

— Dobrze — zgodził się lekko — zaraz podadzą kraby. Lubisz kraby?

Nigdy nie jadłem krabów.

— Oczywiście — powiedziałem i odcchnąłem z niejaką ulgą...

Po kilku dniach wydarzyła się kolejna nedorzecznosc. Żenia Jewtuszenko, który od dawna był stałym bywalcem w Europie, bardzo się mną opiekował i ze wszystkich sił chciał oswoić mnie z Zachodem. I namówił naszego wspólnego znajomego — szwedzkiego wydawcę — aby zabrał nas do nocnego lokalu ze striptizem! Kiedy już wszystko zostało zdecydowane, wewnątrz nie wpadłem w zachwyty, ale dla niepoznaki skrzywiłem się, ponieważ jedna moja połowa była, rzecz jasna, przepelniona ciekawością, pragnieniem nieznanym odkryć, oczarowana dostępnością tajemnicy, ale drugą, czerwoną, przypiekał wolny ogień zasłużonej pruderii. Stąd i grymas obrzydzenia.

Zajęliśmy stolik pod samą sceną. Zapalono światło. Żenia i moja żona siedzieli naprzeciw mnie. Coś do niej mówił i żona spoglądała na mnie z ogromnym zainteresowaniem. Zagrzmiała muzyka. Na scenie pojawiła się kobieta w krótkiej wykrochmalonej spódniczce, długonoga, o wysokich dużych piersiach, chwilowo ukrytych pod koronkową bluzeczką. No i co? — pomyślałem, też mi coś... Kobieta zaczęła tańczyć.

— I to wszystko? — zapytałem niedbale.

Kobieta zrzuciła bluzkę. Żenia podbiegł do mnie.

— Muszę cię uprzedzić — powiedział płomiennym szeptem — że ona zaraz będzie naga, zejdzie na salę i być może usiądzie ci na kolanach...

— Co takiego?! — nieomal krzyknąłem.

— No, taki tu zwyczaj — powiedział Żenia — ja to wiem... Niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby ją odepchnąć albo coś w tym rodzaju... Rozumiesz? Niepotrzebny nam jakiś skandal...

Znowu usiadł na swoim miejscu, znowu wymienił spojrzenie z moją żoną.

Tancerka rozbierała się w dalszym ciągu. Najpierw zdjęła stanik i obnażyła niezbyt jędrne piersi, które zakołysały się w takt muzyki. Następnie niby jesienny liść

spadła z niej szeroka spódniczka. Jedyne, co jeszcze miała na sobie, to coś, co przypominało listek figowy...

Czekałem. Byłem tak spięty, że nie słyszałem muzyki. Teraz tancerka zejdzie ze sceny... Ale muzyka umilkła, rozległy się wzięte oklaski. Światło na scenie zgasło. Byłem ocalony. Serce łomotało rozpaczliwie. Żenia i moja żona podśmiewali się.

Tak. Wszystko to było. I oto przeminęło dwadzieścia lat i znowu jestem w Sztokholmie. Jadę samochodem. Jest słoneczne jesienne południe. Nagle samochód staje i widzę, że wszystkie samochody przed nami także stają. Pewnie korek. Świateł nie ma. Przed nami, na przecznicy, jakiś ruch. Widzę oddział jeźdźców w staroświeckich mundurach: ni to husarzy, ni to ułani. Powoli, uroczyście przecinają nam drogę, a za nimi — tylko sobie wyobraźcie, za nimi — staroświeckie otwarte lando, tak, tak, lando, a w nim sylwetka kobiety. Zatkało mnie: to była królowa Szwecji! Przecież nie codziennie zdarza się coś podobnego!

Wyskoczyłem z samochodu i pobiegłem, pobiegłem tam, na skrzyżowanie, szybciej, szybciej, żebym tylko zdażył...

Stałem na samym rogu. Stoję, płonę z niecierpliwości. Jestem w płaszczu i czapce. Lando zrównało się ze mną. Sylwia —



królowa Szwecji — uosobienie godności i urody zasiadła na skórzanym tronie! Widzę, jak odwraca swoją królewską głowę i wpatruje się we mnie, wpatruje... Chciałem wykonać ukłon, ale odwróciła twarz. Nie zdążyłem się zmartwić, kiedy znowu na mnie spojrzała. Po raz drugi! I znowu się odwróciła.

Po powrocie do hotelu przepętniony wszelkimi wzniosłymi uczuciami zaryzykowałem napisanie króciutkiego pośłania.

„Wasza Wysokość!

Stałem na krawędzi trotuaru. Wasza Wysokość przejeżdżała obok i dwukrotnie uważnie na mnie popatrzyła. Nie jestem monarchistą, Wasza Wysokość, ale było mi ogromnie miło i na zawsze zapamiętam ten dzień!”

Następnego dnia wręczono mi jej odpowiedź.

„Szanowny Panie!

Pamiętam, istotnie stał pan na krawędzi trotuaru, a ja dwa razy uważnie na pana popatrzyłam, dlatego że kiedy pana mijalam, pan, szanowny panie, jako jedyny nie zdjął nakrycia głowy”.

## NA TWERSKIM BULWARZE

Jadę Twerskim Bulwarem. Wiozę w samochodzie autorskie egzemplarze historycznej powieści *Przypadki Szypowa*, które właśnie otrzymałem w wydawnictwie. Nastrój entuzjastyczny. Książka ładnie wydana. Moja książka. Jadę. Nagle, dzisiaj już nie pamiętam co, ale coś znajduje się na drodze, jakaś nieoczekiwana przeszkoda, ja to coś objeżdżam... I pojawia się przede mną inspektor GAI i każe mi stanąć. Zatrzymuję samochód.

Podchodzi leniwym krokiem, salutuje. Kapitan. Niewysoki, krępy, schludny, nieprzenikniony i uprzejmy.

— Jakże to tak, obywatelu? — pyta. — Jakże to tak?... Zagapił się obywatel? Poproszę dokumenty.

Dobrze wiem, co kryje się za tą uprzejmością. Zaraz mnie zacznie strofować nie wiadomo za co, wypisze mandat, będzie się

natrzęsał, co jeszcze daj Boże, bo przecież może zabrać prawo jazdy i zniszczyć mnie... Dzisiaj już nie przypominam sobie, co wtedy zrobiłem, pamiętam tylko, że mojej winy w tym nie było, ale pamiętam także swoją absolutną pewność: będę miał za swoje tak czy inaczej. Jeśli już zatrzymał — nie uniknę kary.

— Proszę posłuchać — mówię — przecież tam był trolejbus... Więc nie mogłem... do tego przed zakrętem... jechałem przecież za nim...

Inspektor słucha, nie przerywa mi. Patrzy tam, gdzie pokazuję nerwowo dłonią. Wargi zaciśnięte, oczy zmrużone. — I oprócz tego — mówię — proszę sobie tylko wyobrazić... I nagle kapitan mówi:

— Ma pan rację. Rzeczywiście. Tego nie wziąłem pod uwagę — i podaje mi dokumenty, do których nawet nie zajrzał. Coś podobnego! Jakże to tak?! Inspektor GAI, który przyznał, że nie miał racji?! Nie przywykłem do czegoś takiego! Nie jestem do tego przystosowany! Coś trzeba zrobić... Jakoś uczcić... I wtedy przypominam sobie, że przecież mam egzemplarze powieści! O, inspektorze!

— Proszę poczekać — mówię, z trudem łapiąc oddech, wciąż nie mogę uwierzyć, że inspektor GAI przyznał mi rację! To cud!

Kapitan jest pochmurny, patrzy, jak uśmiecham się szeroko, ale jego wargi nadal są mocno zaciśnięte.

— Wie pan — mówię pośpiesznie — właśnie wydałem powieść historyczną i chciałbym podarować panu książkę.

Patrzy na mnie, lekko skłaniając głowę.

— Ciekawe — mówi — ciekawe.

— Proszę na chwilkę wsiąść do samochodu, napiszę dedykację...

Inspektor mości się na siedzeniu i bierze książkę do ręki.

— Ciekawe — mówi, kartkując ją — a o czym to jest?

— O Lwie Tołstoj — mówię — o prawdziwym zdarzeniu z jego życia.

— Aha... — mówi inspektor — o Tołstoj... Tak... Pan to napisał?

— Tak, tak, jestem autorem i chciałbym na pamiątkę naszego niezwykłego spotkania podarować ją panu.

Kapitan zamyka książkę i oddaje mi.

— Już, już — mówię i wyjmuję pióro.

— Ależ nie — mówi kapitan — ta książka jest mi niepotrzebna.

— Jak to?! — śmieję się, nic nie rozumiejąc.

— A tak — odpowiada spokojnie. — O Tołstoj już wszystko przeczytałem — i wysiada z samochodu...

Patrzę, jak odchodzi, taki niewysoki, krępy, schludny, uprzejmy i nieprzenikniony. I błyszczą cholewy jego butów.

# GENIUSZ

Było to długo przed wojną. Latem. Mieszkałem u ciotki w Tbilisi. Miałem dwanaście lat. I jak prawie wszyscy, w dzieciństwie i młodości pisałem wiersze. Każdy wiersz wydawał mi się zachwycający. Zawsze natychmiast po napisaniu czytałem nowy wiersz wujkowi i cioci. Oboje — mówiąc łagodnie — nie znali się zbyt dobrze na poezji. Wujek był buchalterem, a ciocia oświeconą gospodynią domową. Ale bardzo mnie kochali i za każdym razem po usłyszeniu nowego wiersza, wołali z zachwytem: „Genialne!”

Ciocia wołała do wujka: „To geniusz!” Wujek z radością przytakiwał: „Oczywiście, moja droga, prawdziwy geniusz!” I to wszystko w mojej obecności, a ja dostawałem zawrotu głowy.

Pewnego dnia wujek zapytał mnie: „Dlaczego do tej pory nie wydano ani jednego

tomiku twoich wierszy? Puszkina tyle ich miał... I Bezymiński... A ty ani jednego...”

Rzeczywiście, pomyślałem sobie, nie mam ani jednego tomiku, ale właściwie dlaczego? I ta smutna niesprawiedliwość tak mnie wzburzyła, że poszedłem do Związku Pisarzy na ulicy Maczabeli.

Panował straszny, lepki upał, w Związku Pisarzy nie było nikogo i tylko jeden, za to najważniejszy, sekretarz na moje szczęście siedział w swoim gabinecie. Wpadł na chwilkę po jakieś papiery i ja wtedy właśnie wszedłem.

— Dzień dobry — powiedziałem.

— Dzień dobry, dzień dobry — powiedział z szerokim uśmiechem. — Pan do mnie?

Kiwnąłem głową.

— O, proszę, bardzo proszę, niech pan siada, słucham, słucham...

Nie zdziwił mnie jego życzliwy uśmiech, ani jego radosne okrzyki, powiedziałem:

— Wie pan, chodzi o to, że piszę wiersze... (O! — wyszeptał najważniejszy sekretarz) i chciałbym... tak sobie po prostu pomyślałem — czemu nie miałbym wydać tomiku wierszy? Jak Puszkina albo Bezymiński...

Popatrzył na mnie jakoś dziwnie. Teraz, po upływie tylu lat, świetnie rozumiem

naturę tego spojrzenia i to, o czym pomyślał sekretarz, ale wtedy...

Stał nieruchomo i dziwny, zagadkowy uśmiech wykrzywił jego twarz. Potem wolno pokręcił głową i zawołał:

— Tomik?! Pańskich wierszy?! O, to wspaniałe pomysły! To byłoby cudownie! — potem zamilkł na chwilę, uśmiech przepadł i powiedział ze smutkiem. — Ale widzi pan, mamy trudności z tym... z papierem... otóż to... skończył się nam papier... po prostu go nie ma... finita...

— Aaa — powiedziałem nie bardzo rozumiejąc — to może naradzę się z wujkiem?

Sekretarz odprowadził mnie do drzwi.

W domu przy obiedzie powiedziałem, jakby mimochodem:

— A ja byłem w Związku Pisarzy. Tam wszyscy się bardzo ucieszyli i powiedzieli, że byliby szczęśliwi, gdyby mogli wydać moje wiersze... ale mają kłopoty z papierem... po prostu go nie ma...

— Nieroby — powiedziała ciocia.

— A ile potrzeba tego papieru? — rzeczowo zapytał wujek.

— Nie wiem — odpowiedziałem — tego nie wiem.

— No bo — powiedział wujek — jakieś półtora kilo mógłbym zdobyć. No, może dwa...



Wzruszyłem ramionami.

Następnego dnia pobiegłem do Związku Pisarzy, ale nikogo tam nie było. I ten najważniejszy sekretarz też, na swoje szczęście, był nieobecny...

# MISTYKA

Napisałem kiedyś wiersz o Mozarcie. Następnie zjawiała się melodia. I powstała piosenka o Mozarcie. Zacząłem ją śpiewać. Stopniowo stawała się znana. Na końcu refrenu były takie słowa: „Niechże pan starań nie szczędzi, Maestro, niechże do czoła przyłoży pan dłoń...”

Pewnego razu zadzwoniono do mnie z Leningradu, z wytwórni filmowej „Len-film”. Prosimi bardzo, żebym dał im tę piosenkę do jakiegoś filmu. Chwalili mnie i prawili niebywałe komplementy. Czułem się szczęśliwy. To był dla mnie prawdziwy uśmiech losu. I poproszono mnie, żebym przyjechał do Leningradu.

W studiu czekano na mnie o pierwszej. W hotelu „Europejskim”, gdzie zarezerwowano dla mnie pokój, usiadłem przy stole, żeby zapisać piosenkę dla filmow-

ców. Wszystko szło dobrze, dopóki nie doszedłem do tej ostatniej linijki refrenu „...niechże do czoła przyłoży pan dłoń”. Przestałem pisać. Jak będzie lepiej: „do czoła przyłoży pan dłoń” czy „na czole położy pan dłoń”. Im dłużej męczyłem się, tym bardziej nie wiedziałem, i wreszcie plunąłem na rozterki, zapisałem jeden z wariantów, już nie pamiętam który — i wyszedłem z hotelu.

Do wytwórni — dwa przystanki metrem. Zjeżdżam nie kończącymi się ruchomymi schodami i nadal siłą inercji myślę „położyć” czy „przyłoży”?

Nagle ktoś mnie dogania. Mężczyzna w średnim wieku. W okularach. Z teczką. Niezbyt uprzejmy. Ani „dzień dobry”, ani „przepraszam”.

— Czy to pan napisał piosenkę o Mozarcie?

— Ja — odpowiadam stropiony.

— A co to znaczy „niechże do czoła przyłoży pan dłoń”? Co pan przez to rozumie? Zapewne jest w tym jakieś drugie dno?

Uważnie się we mnie wpatruje. Twarz nieżyczliwa. Próbuje się uśmiechnąć, ale jakoś mi nie wychodzi. Wreszcie przewyżęciem skrępowanie.

— No... nie bardzo wiem, jak to wytłumaczyć... — tamten patrzy z napięciem

— no, kiedy człowiek myśli, to... trzyma... opiera głowę na dłoni, chyba tak...

— I to wszystko?! — pyta mężczyzna z ponurym rozczarowaniem. — Wszystko? Tylko tyle?

— Tylko tyle — wzdycham i wzruszam ramionami. A co jeszcze mogę mu powiedzieć? To przecież wiersz...

Tamten schodzi w dół po pędzących ruchomych schodach. I znowu ani „dziękuję”, ani „do widzenia”. „Ładna historia!!” — nieomal krzyczę, i aż mi dech zapiera ze zdumienia. Zbaraniały, wchodzę do wytwórni, gdzie na mnie czekają. Mili ludzie, dawni znajomi, moi wdzięczni słuchacze. Nie mogę się powstrzymać i opowiadam im o dziwnym zdarzeniu: o moich porannych wątpliwościach, o zagadkowym spotkaniu na ruchomych schodach!

— Mistyka! — mówię — całe rano łamałem sobie głowę i nagle ten człowiek w metrze!

Śmieją się z uprzejmą aprobata.

— Słowo daję, naprawdę tak było... dosłownie przed chwilą.

Uśmiechają się i kiwiają głowami. Podobają się im moje opowiadanie.

— Nic nie wymyśliłem — upieram się — to wszystko prawda.

— Oczywiście, oczywiście — śmieją się.

# SOBOWTÓRY

Sam początek lat sześćdziesiątych. Jestem już trochę znany. Kręcą się szpule magnetofonów. W gazetach pojawiają się biczujące mnie felietony. To jeszcze bardziej podgrzewa zainteresowanie moją osobą. Czas dla mnie burzliwy i bardzo znaczący. Przecież interesuje się mną publiczność, no, może niezbyt liczna, może też chodzi jej nie tyle o mnie, ile, rzecz jasna, o moje piosenki, które ludzie opowiadają sobie nawzajem, nucą, znajdują w nich coś, co jest im bliskie... Wielki to dla mnie honor.

I oto pewnego dnia dzwoni do mnie jakiś mężczyzna z jakiejś fabryki twardych stopów, gdzieś w okolicy Marinej Roszczy. Twierdzi, że jest przewodniczącym komisji zakładowej związków zawodowych. Głos ma jakiś dziwny, jakąś podejrzaną intonację daje się wyczuć w jego słowach. Długo mnie wypytuje — czy ja to naprawdę Bułat

Okudźawa i czy śpiewam swoje piosenki... Ach, to rzeczywiście ja? I śpiewam je publicznie? No tak... No oczywiście... śpiewa je pan? No tak... no naturalnie... śpiewa... W takim razie musi pan koniecznie być o szóstej w naszej komisji zakładowej. Sprawa jest nadzwyczaj ważna... Wie pan, tu u nas wynikła zdumiewająca historia!

Jadę. Łamię sobie głowę, co też mogę mieć wspólnego z fabryką twardych stopów?! Jakie znowu twarde stopy?! W lokalu rady zakładowej mnóstwo ludzi. Wszyscy patrzą na mnie z rozdziawionymi ustami, załamują ręce, przeklinają, posyłają wszystko do diabła.

— Dzień dobry — mówię. — Cóż to się stało?

Przewodniczący z trudem łapiąc powietrze ze wzburzenia opowiada, co się wydarzyło. Że kilka dni temu przyszedł do komisji zakładowej młody, szeroki w barach, wysoki mężczyzna. Włosy lniane, głowa kształtna. Błękitne oczy, serdeczne, szeroko otwarte. Opanowany. Małomówny. Słyszeliście o Okudźawie? My, odpowiadają mu, słyszeliśmy, słyszeliśmy, i co z tego? To ja właśnie jestem Okudźawa, witajcie. Wtedy wszyscy nasi ludzie przybiegli i zaczęliśmy się umawiać w sprawie jego koncertu w naszej świetlicy. Umówiliśmy się

właśnie na dzisiaj, na siódmą wieczór. Powiedział, że jest mu potrzebny zadatek w wysokości pięćdziesięciu rubli, a reszta może być po koncercie. No to daliśmy mu zadatek, a on poszedł sobie. Nagle po półgodzinie nasz księgowy ni stąd, ni zowąd mówi: według mnie Okudźawa wygląda zupełnie inaczej. Trochę starszy, jakby mniejszy, ma wąsiki, a ten nie ma... Coś tu nie tak... Wpadliśmy w popłoch i na dzisiaj, już po rozmowie z panem, wezwaliśmy na siódmą milicyjną grupę operacyjną. On niedługo tu przyjdzie, wyobraża pan sobie?! Wtedy złapią go na gorącym uczynku, a pan będzie świadkiem!

Zimno mi się zrobiło. Wtedy podchodzi do mnie lejtnant milicji i pyta:

— A dokumenty pan ma?

Pokazuję mu legitymację. Wszystko w porządku. Lejtnant mówi:

— Proszę, żeby wszyscy postronni opuścili pomieszczenie.

Ktoś mówi: — Na sali pełno publiczności.

Wszyscy są podminowani. Ja najbardziej. Przechodzą mnie dreszcze. Szczególnie, kiedy myślę o wysokości zaliczki. Przecież w tamtych latach pięćdziesiąt rubli — to było niesłychane honorarium za występ, a to przecież tylko zaliczka! Wy-

stępując w różnych świetlicach, domach kultury, dostawałem najwyżej trzydzieści, a tu taka zaliczka! Zbliża się już ósma, a oszusta wciąż nie ma.

— Ten wasz naciągacz nie przyjdzie — śmieje się lejtnant — co to on głupi, czy co?

— Poczekajmy jeszcze trochę — mówi przewodniczący rady zakładowej już bez żadnej nadziei.

O ósmej przewodniczący mówi do mnie:

— Chodźmy, niech pan się przynajmniej pokaże publiczności... Paskudna historia!

I oto wychodzę z za kulis na scenę, widownia mnie wita, a przewodniczący, który wyszedł za mną, mówi zmieszany do siedzących na sali:

— Wyszła, wiecie, taka historia.... Jak by to wam wytłumaczyć...

Odsuwam go od mikrofonu i opowiadam, co się stało. Wszyscy się śmieją, biją brawo i krzyczą: „Śpiewaj! Śpiewaj!” Przewodniczący szepcze do mnie:

— Może pan zaśpiewa?... Co teraz począć... Nie ma innego wyjścia...

Nagle przychodzi mi do głowy, że to wszystko zrobiono celowo, żeby zmusić mnie do wystąpienia! Ale ta myśl znika błyskawicznie, ponieważ w tamtych latach nie trzeba było mnie namawiać, każde za-



proszenie uważałem za wielki zaszczyt... Ale mimo to pokręciłem przecząco głową i stanowczo odmówiłem. Że niby nie jestem przygotowany, nie mam przy sobie gitary, a w ogóle, sami widzicie, jak wszystko wyszło...

I na tym rozstaliśmy się.

Po kilku latach w przerwie jednego z koncertów ktoś podał mi kopertę. Leżała w niej fotografia nieznanego mężczyzny. Na odwrocie było napisane: „Ten człowiek na targach książki udawał pana i podpisywał pańskie książki”. Patrząc na fotografię, przypomniałem sobie dawną historię w fabryce twardych stopów. Człowiek na zdjęciu był wprawdzie także młody, wysoki i szeroki w barach. Tyle, że brunet i miał wspaniałe, ukraińskie, bujne wąsy.

# SZKOŁA OKOLICZNOŚCI

W ogóle jestem niepijący, no może najwyżej kilka kieliszków w towarzystwie. A w początkach lat siedemdziesiątych, kiedy zostałem samochodziarzem, nawet i o tym nie było mowy, jeśli miałem usiąść za kierownicą. I niezależnie od tego, w jakim znalazłbym się towarzystwie — tylko woda mineralna albo sok. Czy to odezwał się szacunek dla prawa, czy też poczucie własnej godności — nie mnie sądzić.

Ale pewnego razu jakaś siła postanowiła mnie wypróbować, tknąć nosem, przestrzec.

Mieszkałem wtedy nieopodal Rzeczej Przystani, na ulicy Leningradzkiej. Niemiecka ambasada zaprosiła mnie wraz z innymi, jak to się wówczas nazywało, działaczami kultury, na wycieczkę parostatkami. Nazwy wynajętego statku już nie pamiętam, a mieliśmy odpłynąć z dworca

rzecznego o siódmej wieczorem. Dworzec rzeczny był w odległości kilkuset metrów od mojego domu. Na piechotę — jakieś pięć minut. Ale ja — początkujący kierowca, zakochany w swoim ciemnozielonym zaporozcu, oczywiście wyprawilem się nad rzekę samochodem. Podjechałem na miejsce. Zaparkowałem obok innych aut i poszedłem na przystań.

Na biały parowiec wsiadało coraz więcej elegancko ubranych gości, Niemców, Amerykanów, ale głównie „naszych”. Spotkałem znajomych. Wszyscy byli nieco podnieceni, jak zwykle w takich okolicznościach. Po jakimś czasie podzieliliśmy się na grupy, gromadząc się w różnych pomieszczeniach, dobierając się według wzajemnych sympatii, przechodziliśmy z salonu do salonu. Nie nakryto jednego wspólnego stołu, ale za to kręciło się mnóstwo świetnie wyszkolonych kelnerów, którzy roznosili apetyczne przekąski i w ogromnych ilościach napoje.

Do saloniku, który zaanektowaliśmy z moimi przyjaciółmi, od czasu do czasu zachodzili także inni goście. Rozmawiali o tym i owym, plotkowali, opowiadali dowcipy, jedli i pili, pili, pili. Zajrzała do nas Ała Pugaczowa, która właśnie wtedy zaczynała być znana. Zaśpiewała nową pio-

senkę do słów Osipa Mandelsztama, wszyscy jej gratulowali. I pili, pili, pili.

Znienacka jakiś słodki ból przeszył mnie, oparzył i zniknął. Ale chwilę później powrócił. Dopadł mnie wtedy, kiedy dowiedziałem się, że nasza przejażdżka będzie trwała siedem godzin. W takim razie, czemu nie miałbym wypić kieliszeczka? — pomyślałem. — „W ciągu siedmiu godzin wszystko przecież wywietrzeje!” I wypilem. I ból natychmiast ucichł. Było gwarno, wesoło. Wychyliłem drugi kieliszek.

Zmierzchało się. Zapłonęły żyrandole. Wokół natchnione twarze. Kelnerzy byli szczodrzy i pobłażliwi. W głowie wirowało. Gin z tonikiem, whisky z sodową, armaniak, bordo — niebywałe, znane tylko ze słyszenia, okryte sławą! Świetnie wiedziałem, że jestem na rauszu. Świetnie wiedziałem, ale miałem przed sobą siedem godzin!

Głuche dźwięki silnika nagle ucichły i wszyscy, nie wiedzieć czemu, zaczęli się zbierać.

— Co się stało? — zapytałem.

— Koniec. Przybiliśmy — usłyszałem.

— Ale przecież mówiono... siedem godzin...

— Już prawie osiem minęło.

Ledwie przestawiałem nogi, chociaż umysł miałem jasny. Ruszyłem z innymi do wyjścia. Jakoś tak wyszło, że wszyscy mnie wyprzedzili, i kiedy wyszedłem na plac przed portem, samochodów już nie było. Do ostatniego, zagranicznego, ze śmiechem wsiadali cudzoziemscy goście. Pomyślałem, że jeśli oni mogą jechać przez całą Moskwę, czemu nie miałbym i ja? Przecież mój dom jest tu zaraz, bliźiutko, o parę kroków. Zobaczyłem opodal swego ciemnozielonego ulubieńca. Wiernie na mnie czekał. Jak do niego dotarłem — nie pamiętam. Było to trudne, ale się udało. Wsiadłem, włączyłem światła, zapaliłem silnik. Samochód ożył. Świetnie wiedziałem, że jestem pijany, ale przecież mój dom jest tuż-tuż, a i na drodze pusto. I pojechałem. Minałem park i bardzo sprawnie skręciłem w moją ulicę. Ani jednego samochodu. Trzecia w nocy.

Nagle widzę: przede mną inspektor GAI, macha lizakiem, żebym się zatrzymał. Hamuję, wysiadam, już rozumiem, że sytuacja jest szczególna, więc ostrożnie zbliżam się do inspektora. Inspektor stoi na pustej drodze, śmieje się i mówi:

— Czemu to pan stanął na środku jezdni? Proszę bliżej chodnika...

Wsiadam do samochodu, ustawiam go przy chodniku. Rzeczywiście, co też ja?

Znowu podchodzę do inspektora, podaję dokumenty, ale tak, żeby stać tak daleko od niego, jak to tylko możliwe.

— Pił pan? — pyta.

— Nie — odpowiadam.

Znowu się śmieje. Sympatyczny chłopak. Pewnie czuje się samotnie na tej pustej drodze.

— No, może jeden kieliszek — mówię — było takie przyjęcie u ambasadora...

— Wiem, wiem — śmieje się inspektor — a pan zapomniał zgasić silnik.

Biegnę do samochodu, to znaczy tak mi się zdaje, że biegnę. Zgasilem silnik. I już wcale nie jestem pijany.

— Wie pan — powiedziałem, ponownie zbliżając się do inspektora — o, tam jest mój dom, widzi pan? Proszę wsiąść ze mną do samochodu i popatrzeć, jak będę prowadził... Niech pan wsiada...

Znowu roześmiał się i powiedział:

— Nie lubię jeździć za darmo. Jasne? Dotarło?

Pijany, nie pijany, ale od razu wszystko zrozumiałem. Poszukałem po kieszeniach, znalazłem wymięte dwadzieścia pięć rubli (a w tamtych czasach była to suma znaczna) i dałem inspektorowi.

Wziął banknot, schował, zwrócił mi dokumenty i powiedział z przyjaznym uśmiechem:

— Dobra, niech pan wsiada, i ostrożnie, ostrożnie — i pogroził mi palcem.

Poczułem się lepiej. I w głowie jakby przejaśniało.

— No dobrze — powiedziałem bez wrogości — co było, to było. Ale skąd się pan domyślił, że w ogóle piłem?

Znowu roześmiał się, po przyjacielsku ujął mnie pod łokieć i podprowadził do samochodu.

— Po pierwsze — powiedział — kiedy pan wjechał na drogę, zniosło pana nie wiadomo dlaczego na trzeci pas! Po drugie, cała ulica natychmiast zaczęła śmierzdzieć wódą... Tak, tak, wódą... Po trzecie, podając mi dokumenty, upuścił je pan i dwadzieścia minut pełzał po asfalcie, żeby je zebrać do kupy... Myślałem, że pęknę ze śmiechu...

Ładna historia, pomyślałem, co za upokorzenie!

Inspektor przestał się śmiać. Zachmurzył się.

— Już nie wspominam, do czego był pan podobny, kiedy pan biegł, żeby zgasić silnik — powiedział z obrzydzeniem i odwrócił się do mnie plecami.

...Obudziłem się w południe i od razu wszystko sobie przypomniałem. No i już od tej pory, kiedy siedzę za kierownicą — ani kropli. Przenigdy.

# WIKA

Z Wiką Niekrasowem byliśmy przyjaciółmi. No, może nie najbliższymi, ale bardzo go lubiłem i szanowałem, jak przypuszczam, z wzajemnością. Jego talent jest znany wszystkim, ale urok, życzliwość, szczerłość i nieprzekupność były równie ważne.

Znałem go od dawna, ale widywaliśmy się rzadko, wtedy, kiedy wreszcie przyjeżdżał do Moskwy ze swojego Kijowa. Nadszedł obrzydliwy okres i Wikę za to, że był niepokorny i nie chciał się poddać, wypchnięto z kraju. Pojechał do Paryża. Jego nazwisko stało się zakazane. Głos z radia „Swoboda” również. A już wszelki kontakt z nim był ciężką zbrodnią przeciwko władzy radzieckiej.

Pewnego razu dostałem z Francji list bez podpisu. Myślałem, myślałem, od kogo też mógłby być — nic nie wymyśliłem. Mój



syn wziął do ręki kopertę i pokazał palcem na znaczek. Przyjrzałem się. O mój Boże! Na znaczku była twarz Wiki! I jak zwykle, normalny stempel sowieckiej poczty. Nic nie zauważyli!

Mniej więcej rok po jego wyjeździe wysłano mnie do Paryża z grupą poetów, mieliśmy wszyscy uczestniczyć w wielkim wieczorze poetyckim. Z hotelu natychmiast zadzwoniłem do Wiki. Bardzo się ucieszył i powiedział, że na wieczorze będzie z całą pewnością, ale ponieważ tam nie będziemy mogli porozmawiać, zostaną potajemnie przywiezieni do jego domu już po występach.

Na piętnaście minut przed początkiem wyszedłem na wielką scenę bez kurtyny, żeby popatrzeć na publiczność. Ogromna sala była przepelniona. W pierwszym rzędzie siedzieli dyplomaci i pracownicy radzieckiej ambasady. W prawie identycznych garniturach i jednakowych krawatach. Twarze pełne napięcia, powiedziałbym nawet surowe. Ogromnie różnili się od pozostałej publiczności — wesołej, odświeżonej, po parysku rozluźnionej. Zobaczyłem na sali znajome twarze emigrantów. W obecności urzędników ambasady kontaktowanie się z nimi było szczególnie niebezpieczne, dlatego tylko mrugaliśmy do siebie, kiwając głowami.

I wtedy zobaczyłem w drugim rzędzie, zaraz za plecami naszych urzędników, Wikę! Był w szarej marynarce, w rozpiętej koszuli, bez krawata. Patrzył na mnie i uśmiechał się szeroko. Nie potrafię wytłumaczyć, jak to się stało.

Oczywiście nie odwaga, tylko jakaś tajemna siła posłała mnie na schodki, zmusiła, żebym zbiegł na salę i podbiegł do niego. Wika zerwał się z miejsca i uścisnęliśmy się ponad głowami posępnych i osłupiałych urzędników ambasady. Dech mi zaparło. „Koniec — pomyślałem — teraz już nigdzie mnie nie wypuszczą... Mam to z głowy — pomyślałem. — No i dobrze... Niech ich diabli wezmą!” Spotkaliśmy się po koncercie w domu Wiki. Trochę wypiliśmy. Śmiaaliśmy się, wspominając nasze antyrządowe uściski.

— Ryzykant z ciebie! — śmiał się Wika. Byłem dumny i szczęśliwy.

Potem spotykaliśmy się prawie codziennie i zawsze na antresoli kawiarni „Montparnasse”. I codziennie Wika przynosił aparat fotograficzny, wołał kelnera i prosił, żeby nas sfotografował. Może los był dla mnie łaskawy, a może ludzie z ambasady tak zbaranieli, patrząc na nasze zbrodnicze uściski, że machnęli na mnie ręką. A może w powietrzu powiało czymś nowym, ponie-

waż potem jeszcze kilkakrotnie przyjeżdżałem do Paryża i rytuał zawsze był taki sam: kawiarnia „Montparnasse”, antresola i pstrykający aparatem kelner.

I oto już w samym rozkwicie pierestrojki spotkaliśmy się po raz kolejny. Nie było się już czego bać. Ale tradycja pozostała. Znowu ta sama kawiarnia i fotografujący nas kelner. Wika właśnie wyszedł ze szpitala. Mizerny, smutny, a i rozmowa nasza była jakaś dziwna, bez dawnego ognia. Miesiąc później, już w Moskwie, dostałem od niego kolejny list z włożonym do koperty zdjęciem. Bardzo smutnym. Nasze twarze były nie wiadomo dlaczego zielonkawe na niebieskawym tle. Wpatrywałem się, wpatrywałem i nie mogłem od niego oczu oderwać. Zadzwoił telefon. Nadal patrząc na zdjęcie, podniosłem słuchawkę. Dzwoniła znajoma z Paryża. Powiedziała, że właśnie dzisiaj umarł Wiktor Niekrasow.

# JESZCZE WSZYSTKO PRZED NAMI

Rok sześćdziesiąty. Już mnie po trochu rugają, ale na razie tylko za piosenki, i to bez specjalnego zapachu. Jestem pracownikiem „Literaturnej Gazety”. Mam w redakcji malutki pokoik, z biurkiem, kanapą i szafą na papiery. Gabinet. Jeśli zamknie się drzwi, można nacieszyć się samotnością. Na szafie — gitara. Czasami nucę przyjaciółom niektóre wiersze. Ale mnie ciągnie do pisania prozy, i to nie po prostu prozy, tylko wspomnień o sobie, siedemnastoletnim krzywonogim żołnierzyku w onucach, który trafił na front.

Piętnaście lat po wojnie, nie wiedzieć czemu, widziałem siebie żałośnie śmiesznego, chociaż przecież wszystko pamiętałem bardzo dokładnie. Pisałem chętnie i z przyjemnością. Nie marzyłem o literackich laurach. Niektóre rozdziały czytałem przyjaciółom z „Gazety”. Wszyscy byli dla

mnie dobrzy. No to pisałem, bez szczególnego wysiłku: przecież nic nie trzeba było wymyślać, starać się, tworzyć „prozę”, pisałem wspomnienia. I to wszystko.

Co prawda, opisując swoją młodość na froncie, czasem przypominałem sobie nieosiągalne wyżyny — to okopy Niekrasowa, to Simonowa, to Bakłanowa, to Bondariewa, ich słowa groźne, tragiczne, bohaterские, krwawe. Wspominam, a sam szczerze piszę o krzywonogim chłopcu, niemądrym i naiwnym, który nie wiadomo dlaczego, wcale nie chce umierać na polu chwały, tylko żyć, żyć... Żaden cenzor wewnętrzny nie koryguje mnie, dlatego że piszę nie po to, aby to wydać, co jest jasne dla każdego. Oczywiście dla każdego, kto żył w tamtych latach.

Wreszcie stawiam kropkę. Czuję, że pewna historia, niezbyt wyraźnie określona, jest zakończona. Sto stron maszynopisu. Pierwsza proza w moim życiu! Nie *Wojna i pokój*, nie *Córka kapitana*, ale to przecież właśnie moje życie! No dobrze, nawet jeśli brak pozytywnego bohatera, a to wszystko takie śmieszne i żałosne, i nic „bohaterского” jakby się nie dzieje, to przecież było właśnie tak! Nie skłamałem ani trochę.

Kilka dni upajałem się tym, czego dokonałem. Nic nie mówiłem. Czekałem. Przy-

czaiłem się. Następnie przepisałem. Coś poprawiłem. I kiedy wpadł do mnie Boria Bałter — „prawdziwy” prozaik, uczeń samego Konstantina Paustowskiego — zawierzyłem mu moją tajemnicę. Nie był zdziwiony, ponieważ, jak się okazało, od dawna wiedział o tym, co robię. „Bo wszyscy mówią, że piszesz prozę”. Mówię: „Nie prozę, Boria, a tylko tak sobie, jakby wspomnienia... Frontowa młodość, Boria... no różne tam takie, tak jak zapamiętałem... To przecież też jest ciekawe...” Bałter nieoczekiwanie powiedział: „A dasz poczytać?” „O Boże! — zawołałem — oczywiście, jeśli tylko chcesz...” „No to dawaj to — powiedział rzeczowo. — No?” Wyjąłem te sto stron z szuflady. Boria spojrzał na pierwsze linijki i zabrał maszynopis.

Zjawił się u mnie po tygodniu. Maszynopisu przy sobie nie miał. Powiedział sucho i surowo: „Spodobało mi się”. Tak się ucieszyłem, tak się ucieszyłem, że nawet nie próbowałem tego ukryć. Boria uśmiechnął się i powiedział: „Rozumiesz, taka historia... dałem to do przeczytania szefowi...” „Co takiego?!” — dech mi zaparło. Przecież szefem Boria nazywał czasem Konstantina Paustowskiego! Tego żywego klasyka! „I co? Co?!” — ledwie wydusiłem z siebie. „No wiesz, przeczytał i powie-

dział...” „Przeczytał? On?” — krzyknąłem zamierając...

„Przeczytał — powiedział Boria — i postanowił drukować to tak, jak jest, nic nie poprawiając i nie zmieniając...” Zamilkł i z przyjemnością patrzył na mnie zamienionego w słup soli.

Potem poszliśmy do restauracji „Kotwica”, tuż obok redakcji, zaraz za rogiem, tam wypiliśmy i Boria powiedział, że postanowiono wydać czasopismo, a właściwie almanach, niebываły jak na tamte czasy, po prostu nie do pomyślenia, bez żadnego zezwolenia, bez błogosławieństwa KC! Będzie nad nim pracować i przepychać je grupa entuzjastów, nazywać się ten almanach będzie „Taruskije Stranicy”, a duch Konstantina Gieorgiewicza Paustowskiego będzie nad nimi szybować w przestworzach, zdobiąc je i uskrzydłając. Kiedy wychodziliśmy z restauracji, Boria powiedział: „Aha, szef polecił mi, to znaczy poprosił, żebym przywiózł ciebie do niego do Tarusy”.

Mam nadzieję, że rozumiecie, co się ze mną działo! Wróciłem do redakcji. Przeczytałem drugi egzemplarz, który sobie zostawiłem. Moja proza! Myśl o tym, że zobaczę wielkiego człowieka, nie pozwalała mi żyć spokojnie. Przecież znałem go, nie-

omal od dzieciństwa. Jego proza, czysta i szlachetna, towarzyszyła mi od zawsze, a jej mistrzostwo wydawało się nieosiągalne. Paustowski nie był podobny do innych żyjących „mistrzów”. Tamci byli mistrzami literatury, a on był bogiem. I jakże to tak — wejść do niego, a on uściśnie mi rękę?! I powie: „Dzień dobry?!” I będziemy tak zwyczajnie sobie rozmawiać?!

Oto więc jedziemy z Bałterem kolejką elektryczną do Sierpuchowa, tam łapiemy przygodną ciężarówkę na te trzydzieści kilometrów do Tarusy. Dojeżdżamy. Wyłazimy z ciężarówki, idziemy taruską ulicą. Jestem strasznie spięty. Po lewej stronie, pod skarpą, połyskuje Oka. A otóż i dom. I Boria wprowadza mnie do ogródka, i wchodzimy do domu. Prawie od razu pojawia się Konstantin Gieorgiewicz i... wyciąga do mnie rękę!

Zanim jeszcze padłem na ziemię, wstrząśnięty zdołałem zauważyć, że jest niewysoki, uśmiechnięty, łagodny i gościnnie, że jest prosty i serdeczny... „Ach, więc tak pan wygląda!” — mówi i napięcie natychmiast mnie opuszcza.

Pięć minut później siedzimy w pokoju. Paustowski udaje, że nie widzi, co się ze mną dzieje. Opowiada jakiś dowcip. Głośno się śmieje. Boria z cicha chichocze.



Stopniowo zjeżdżają się pozostali autorzy i redaktorzy przyszłego almanachu. Znam wszystkich, a już Kola Panczenko i Wołodia Koblikow to moi starzy przyjaciele, jeszcze z Kaługi.

Godzinę później siedzimy wszyscy za nakrytym stołem. Popijamy, zagryzamy, wszystko normalnie. Znowu rozmawiamy o almanachu. Jestem tu nowy, więc głównie milczę. Za oknem ostre słońce. Almanach jak almanach. Wszystko jak trzeba. Ale powietrze nasycone jest czymś niezwykłym, szczególnym, trwożnym. Jakby otaczało nas jakieś nieokreślone zagrożenie, chociaż śmiejemy się, czasem nawet głośno, i jakby niczego się nie obawiamy... Ludzie, którzy razem ze mną przyszli z tamtego czasu, rozumieją mnie, a tym, którzy nie wachali tamtego prochu, nie ma co tłumaczyć, bo to się na nic nie zda.

Oprócz mnie, nikomu nie znanego prozaika, no i może jeszcze Władimira Maksimowa, no i Wołodi Koblikowa, byli tam przecież jeszcze i Dawid Samojłow, Jurij Trifonow, Borys Szucki, Jewgienij Winokurow, Nikołaj Zabołocki... same znakomitości, no i oczywiście sam Konstantin Gieorgiewicz... Ale w tamtych czasach wszystkie te nazwiska, a także wiele innych, zwłaszcza zebranych razem, wyglądały bardzo

podejrzenie, zasługiwały niewątpliwie na potępienie. A co dopiero mówić o obszer-  
nym wyborze wierszy Mariny Cwietajewej!  
To nieomal zbrodnia. A reportaże Nadież-  
dy Jakowlewej, ten szyty grubymi nićmi  
pseudonim Nadieżdy Jakowlewny Mandel-  
sztam!

A więc nie mamy prawie żadnej nadziei  
na wydanie takiego almanachu, ale to „pra-  
wie” jakże jest ciepło, jak nas ogrzewa!

Siedzimy za stołem. Okazuje się, że  
Konstantin Georgiewicz jest niezdrów  
i żona pilnuje go bardzo surowo, a kiedy  
wznosimy kolejny kieliszek, uśmiecha się  
do niej, pije borżom i mruga do nas ukrad-  
kiem, mruga nawet do mnie, jak do starego  
znajomego.

Siedzimy za stołem. Zaczynam odbierać  
jakieś potajemne sygnały. Pojawiają się,  
znikają i znowu się pojawiają. W oczach  
zgrupowanych, w gestach, w intonacjach  
głosu. Konstantin Georgiewicz opowiada  
jakieś zdumiewające historie ze swojego  
życia. My wszyscy to śmiejemy się, to ogar-  
nia nas smutek. Słońce skłania się ku  
horyzontowi. To również przypomina syg-  
nał. I wtedy ktoś wstaje od stołu, dzięku-  
je i wszyscy natychmiast się podnoszą.  
„Odprowadzę was kawalek” — mówi gos-  
podarz, a sam patrzy na żonę. „Tylko

bardzo cię proszę, nie na długo. Proszę, tylko do furtki” — uprzedza żona. Gospodarz posłusznie kiwa głową i wszyscy razem opuszczamy dom.

Wychodzimy za furtkę, idziemy powoli ulicą, potem nagle coraz szybciej i szybciej... Dokąd to? „No tak — łapiąc z trudem powietrze szepcze Paustowski — teraz pośpieszcie się, przecież już zapada wieczór”.

Wpadamy na jakieś podwóreczko, obchodzimy dookoła jakiś dom i wbiegamy do wielkiej mrocznej szopy. Wszyscy śpiesznie się krzątają. Nie wiadomo skąd, przynoszą krzesła, stolik, na którym już szeregiem ustawiają butelki, jakieś jedzenie... Otóż i sygnały! Wszyscy są przemili, uśmiechnięci, nieco zatroskani. Nie wiadomo skąd, pojawia się gitara, którą dają mi do ręki... Już prawie do tego przywykłem, ale przecież tu jest Paustowski! Patrząc na niego spod oka — uśmiecha się. W szklankach błyska to, co do nich nalano. „No to zaczynamy” — proponuje Boria Bałter i podnosi swoją szklankę. I chory Paustowski także wznosi swoją! Nieco bojaźliwie rozgląda się na boki, ale jednak podnosi szklankę i wypija odrobinę! W tamtych czasach miałem zaledwie jakieś osiem czy dziesięć piosenek. Bardzo się staram.

Wszyscy obecni znają je już, ale nie Paus-towski, więc staram się, staram...

O czym rozmawiano w przerwach między piosenkami, nie pamiętam, minęło jednak ponad czterdzieści lat. Ale życzliwość i dobroć zapamiętałem. Czegóż trzeba więcej? Czy nie to właśnie do dziś mnie ogrzewa? A najbardziej — jego spojrzenie i uśmiech. Tak się poznaliśmy.

Almanach „Taruskije Stranicy” jednak został wydany. Z największym trudem. Wielokrotnie prace przerywano. Partyjni czynownicy zakazywali, konfiskowali, przeszkadzali jak tylko mogli. W najbardziej krytycznych momentach, w sytuacjach bez wyjścia nagle w sprawę włączał się Paus-towski, dzwonił do Lebiediewa, asystenta Nikity Chruszczowa. Lebiediew miał słabość do „klasyka”. Interweniował i przygotowania do wydania almanachu z trudem ruszały, aby znowu za chwilę przyhamować, i znowu Konstantin Georgiewicz z gorzką niechęcią dzwonił do Lebiediewa... i znowu...

Wreszcie „Taruskije Stranicy” wyszły w nakładzie 75 000 egzemplarzy! Wybuchło święto, ale od razu przygasło, dlatego że na polecenie z góry znaczna część nakładu została natychmiast zniszczona, a resztę pozwolono sprzedawać jedynie na straganach. Żeby ani jeden egzemplarz nie trafił

ani do księgarni, ani do biblioteki... Ale i tak było święto! I na jego zdumiewającym tle szczególnie wyraziste wydały się niektóre epizody.

Zebrałiśmy się w dziale literackim „Gazety”. My — to znaczy kilku autorów „Tatarskich Stranic”. Braliśmy do rąk świeże egzemplarze. Byliśmy zachwyceni. Jak na tamte czasy, było to ładne wydanie. Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł krytyk Grigorij Sołowiow. Mały, niepozorny, z rozbieganymi oczkami. W rękę trzymał nasz nowiutki almanach. Jego oczka płonęły. Krzyknął od progu:

— No, tego można nawet nie czytać, wystarczą nazwiska autorów, żeby nie została nawet mokra plama!

Milczeliśmy. Były bezprizorny, Wołodia Maksimow, zasyczał:

— No ty, zjeżdżaj stąd, ale już!

Wkrótce Romana Lewita, redaktora almanachu, wyrzucono z pracy za polityczną krótkowzroczność. My, autorzy, postanowiliśmy wystąpić w jego obronie. Napisaliśmy list do Michaiła Susłowa, żądając, żeby nas przyjął. Ale szara eminencja nie zechciał udzielić nam posłuchania i polecił załatwić sprawę partyjnemu urzędnikowi wysokiego szczebla, Romanowowi. Wezwano nas. Stawiliśmy się. Siedzieliśmy w gabinecie na-

przeciw samego Romanowa i czekaliśmy, co nam powie. W jego oczach było smętne zdumienie. Zapytał:

— Dlaczego nie zanieśliście swoich utworów na przykład do „Nowego Miru”?

Wszyscy milczeli. Maksimow wyjaśnił życzliwie:

— Byliśmy tam, ale oni nie chcieli tego drukować

— No to trzeba było iść do miesięcznika „Znamia” — ospale poradził Romanow.

— Przyszliśmy do was, towarzyszu — powiedział któryś z nas — żeby zapytać, dlaczego wyrzucono z pracy Romana Lewita?

— A dlaczego nie poszliście do miesięcznika „Znamia”? — zapytał Romanow.

— Byliśmy i tam — odpowiedział Maksimow.

— Komu jest potrzebny ten podejrzany almanach? — zapytał Romanow, patrząc gdzieś obok nas. — Można było, no powiedzmy, do „Nowego Miru”...

— Byliśmy w „Nowym Mirze” — ostro powiedział któryś z nas, może i ja.

Zapadło milczenie. Nie było o czym mówić. Jak pamiętam, nawet mnie to rozśmieszyło. Pewnie z nerwów.

— A „Znamia”? Dlaczego nie byliście tam? — zapytał Romanow.

— Byliśmy — powiedział Maksimow.

Któryś z nas powiedział:

— Chodzi o coś innego. Niepokoi nas los redaktora almanachu. Za co wyrzucono go z pracy?

Romanow długo milczał. Potem powiedział:

— Można było i do innych miesięczników. Tyle ich u nas wychodzi...

— Nosiliśmy — usłyszał.

— A do „Nowego Miru”? — zapytał. Patrzył w bok. Na jego twarzy malowało się cierpienie. — Albo ostatecznie, jest przecież „Znamia”... Mogliście iść do miesięcznika „Znamia”...

Pozostało nam tylko podziękować za rozmowę. Żegnając się z nami, Romanow wzdychał z ulgą. To zapamiętałem bardzo dobrze.

I jeszcze.

Niedługo po pierwszym spotkaniu w Taurusie znowu spotkaliśmy się w tym samym miejscu, chociaż nie u Konstantina Gieorgiewicza, tylko u Nikołaja Ottena, autora wyboru. Zdaje się, że jak zawsze przy takiej okazji coś jedliśmy i piliśmy, ale ja zapamiętałem trawnik przed domem i podniosłą, radosną rozmowę o tym, czego dokonaliśmy, i jak do mnie nagle podchodzi Nadieżda Jakowlewna Mandelsztam — tak, tak,

wdowa po Osipie Mandelsztamie! — i mówi surowo: „Niezwykle spodobała mi się pańska nowela w almanachu. Obawiam się, że niczego lepszego pan już nigdy nie napisze”. Milczę wstrząśnięty. Nadieżda Jakowlewna powoli odchodzi do innych gości.

Od tej pory, jak tylko siadałem do pisania prozy, wspominałem jej prorocstwo, oblewał mnie zimny pot i bardzo starałem się udowodnić, że nie miała racji.

Opowiedziałem o tym Paustowskiemu. Roześmiał się, a potem powiedział: „O, trzeba to koniecznie przewyciężyć...” Później spotykaliśmy się niezbyt często, ale zawsze bardzo serdecznie.

A potem umarł.

Na moim biurku stoi jego fotografia. Konstantin Gieorgiewicz uśmiecha się.

Już od dawna nie śpiewam swoich piosenek, a on nadal uśmiecha się po ojcowsku, jakby jeszcze wszystko było przed nami...